№ 15.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1842. Poznań, dnia 20. Lipca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Powieści w podróży.

przez
Lucyana Siemieńskiego.

(Ciąg dalszy.)

Staruszek skończył, a ja dodałem: tą razą pan Kaniowski znalazł się przynajmniéj dowcipnie; gdyż inne jego psoty trąciły zawsze dziką srogością.

Mój Rusinek, który przez ciąg opowiadania zapomniał o koniach, i ciekawém uchem przysłuchiwał się rozmowie, wtrącił także swoje trzy grosze mięszając z dworska polszczyznę do ruszczyzny: Oj, tak nieboże! te pany didka by zjiły, zawsze mają rozum, aby zrobić na pakość.

Ma poniekąd słuszność; powtórzyliśmy oba z szlachcicem; czém on ośmielony, znowu się ku mnie obrócił, a uginając czapki prosił by mu wolno było opowiedzieć jedną prawdziwą historyę.

I owszem i owszem mój Chwed'ku, gadaj nam, ale patrz i na konie by nas gdzie w rów niezawłokły.

Chwed'ko krótko wziął lejce, klasnął z bicza, i tak swoją powiastkę zaczął:

W téj wsi zkąd ja rodem, jest niewielki dębowy gaj, który w części należy do naszego dziedzica, a w części do mieszczan z T... W jednym kącie téj dąbrowy, właśnie tam, gdzie się schodzą granice stoi dość spory kopiec, a na nim wielka czworogranna figura (Chwed'ko wymawiał: Chwigura, zwyczajem sławian niecierpiących litery F.) wykuta z jednego kamienia. Na każdéj ścianie, jak utrzymywał nasz dziak, człowiek piśmienny, stało wypisano dokumentnie o całym procesie mieszczan z dawną dziedziczką wsi naszéj; — ale że temu siła a siła lat, i że się dziedzice późniejsi wstydzili za swoją antecessorkę, przeto kazali napisy wydrapać, i teraz nic niezostało tylko po jednéj stronie półtrzecia krzyża (takim się znakiem pieczętowała owa dziedziczka), a po drugiéj coś niby trzewiczek białogłowski. Kiedy mi było lat dwanaście, i chodziłem na pastewnik za trzodą, razu jednego, gdyśmy pod wieczór mieli zaganiać do domu, najlepsza owca, jakby ją co opętało, nuż w las uciekać, ja za nią, ja za nią, gonię i gonię, po chrustach, po jarach, ale darmo! ucieka coraz głębiéj w gęstwinę. — Mnie już i sił niestawało, i dech się zabił w piersi, ale strach, aby rodzic nieobił gdybym wrócił bez owcy, sprawił, żem ciągle gonił i krzyczał: baź, baź, baź, baź! — Już, już miałem ją dognać, gdy w tém tuż za chróściną posłyszę że moja owieczka beknęła żałościwie ... przyskoczę, myśląc czy tam nie pies, lub wilczysko — aż widzę, biedne stworzenie leży na ziemi, i tylko bokami robi ... chcę ją podnieść, ocucić — rób co chcesz! dech z niéj wyszedł, ostygła ... Oj, nieszczęsnaż moja główka! zawołałem, oglądając czy niema gdzie na niéj znaku krwi, lub rany, ale gdy nic nie znalazłem, strach mię ogarnął: To pewnie upiorzyca! podumam — a spojrzawszy około siebie; cóż widzę? oto ów kopiec z kamienną figurą!! Wszystko się we mnie zatrzęsło, zimny pot oblał całego, upadłem na ziemię jak długi ... i jużem nic nieczuł, ani widział. ... W tym stanie, jak mi po tém mówiono, leżałem do późna w noc, to jest, aż póki drugie pastuchy widząc że niewracam z lasu, niedali znać do wsi. Mój rodzic zaraz skoczył do popa, który wziąwszy wodę święconą i kropidło, a dziakowi kazawszy iść naprzód z krzyżem, poszedł mię szukać na kopiec wraz z gospodarzami co pobrali siekiery i koły z płota. Gromada miała mię za zgu-

bionego, powiadając, że upiorzyca pewnie mię zadusiła; matka biedna na zabój płakała — ale szczęściem, wszystko skończyło się na owcy, bo ja, za pierwszém pokropieniem święconą wodą zaraz otrzeźwiałem, lubo nazajutrz, jak mię porwała choroba, tom przez sześć niedziel z przypiecka niezlazł.... Kiedy mi Pan Bóg pozwolił wrócić do zdrowia, a rodzice dawali przestrogę nigdy niebiegać na kopiec, zapytałem, za co ta upiorzyca taka zawzięta na trzodę i na dzieci? wtedy mi rodzic taką opowiadał historyę, którą słyszał od najstarszego gospodarza we wsi, co jeszcze umarł za polskich czasów . . .

Dużo, dużo lat temu — wtenczas była sprawiedliwość na złych panów — jak między dziedziczką tego tu sioła, a mieszczanami z T. wynikła była sprzeczka o grunta . . . Mieszczanie składali się papierami i dowodzili przed sądem; że to ich pole, i pokazywali kędy szła granica; dziedziczka dowodziła przeciwnie . . . Sędziowie, choć pani porządnie smarowała im ręce, widząc słuszność na stronie mieszczan, nieśmieli zawyrokować wbrew prawdzie. — Kiedy więc strony obstające przy swojém, niemogą się pogodzić, dziedziczka (a była to przemądra i chytra niewiasta) chcąc od razu ukończyć, powiada, że kiedy ludzie niemogą, niech Pan Bóg rozstrzygnie, i ofiaruje przysięgę na gruncie . . . Na dniu wyznaczonym — tam, gdzie dziś stoi kopiec, zjeżdża dziedziczka i mieszczanie . . . Pani ta aczkolwiek w sumieniu przekonana, że ten kawał pola należał do mieszczan, umyśliła użyć fortelu dla wydarcia go; więc nabrawszy w trzewiki ziemi z własnego łanu, śmiało przystąpiła do przysięgi, a podnosząc trzy palce do góry, mówiła: Przysięgam w obliczu Pana Boga ukrzyżowanego, iż ta ziemia na któréj stoję, jest moją własną! . . . Ale zaledwie usta jéj wydały kłamstwo, gdy na tém samém miejscu gdzie stała, padła i umarła! . . . Ot tak nałożyła hołowkoju za krzywoprzysięstwo! — Sędziowie widząc dopust boży na grzesznicę, bardzo się zlękli, i zaraz grunt przysądzili mieszczanom. Ciało jéj, z którego duszę czort wywlókł, zakopali na témże miejscu, gdzie dla wiecznéj pamiątki postawiono kamień. Ale duszy dotąd nikt niewykupił, bo co noc pokutuje, napastując przechodzących, rozpędzając bydło, dusząc owce i nierogate, a czasem i małych chłopaków, jak to omal i mnie niespotkało, gdyby nie dobrodziéj, co przed północą przybył z kropidłem i wodą święconą.

Dobra nauka dla krzywoprzysięzców! zawołał mój starzec częstując mię tabaką — oj, żeby taka kara spotykała fałszywych świadków i oskarzycieli, mniéjby złego się działo już dzisiaj po trybunałach, i mój dłużnik, który zapiera mi sumę, nieśmiałby . . .

O zapewne, zapewne — ale, choć kary niewidzim, kto wie co się w ich sumieniu dzieje, tam może straszniéj niż w piekle.

Tak to i pop nam powiada paneńku — wtrąci Chwed'ko wstrząsając głową — ale jakoś to się niepokazuje na tych, co krzywdzą ubogi lud: jedzą dobrze, śpią dobrze, hulają . . . a nas jak kapie bieda tak kapie . . . na tamtym świecie, nie bez tego żeby czort niemiał ich męczyć jak owego Sobieckiego . . .

Jakiego Sobieskiego? zapytałem, zdziwiony tą jego znajomością z historyczną osobą.

A — Sobieckiego — króla — co to lud wyprzedał Tatarom. — Ciekawa to historya! tak dwa lata, nim jeszcze do pana przystałem, jeżdżąc za solą pod Kałusz, posłyszałem ją od tamecznych ludzi . . . pozwoli pan, to opowiem?

Niepytaj o pozwolenie, a gadaj, co tylko wiesz. Chwed'ko poprawił się na koźle, cmoknął na konie i tak zaczął:

Bardzo temu dawno, był jeden król co się nazywał Sobiecki, miał żonę którą mocno miłował, i pozwalał jéj robić, co żywo tylko zachciała. Ten król i królowa siedzieli sobie na tronie i panowali nad polskim narodem, zwyczajnie jak nasz dziedzic panuje nad nami: my pracujem, on używa; tak zawsze bywało; bogaty jak pączek w maśle, chudy pachołek, jak groch przy drodze — powiadają ludzie że kiedyś ma być lepiéj, ale nim to nastąpi, dużo jeszcze wody upłynie. Otóż jednego czasu, ten król i królowa — a było to na przednowku — zjadłszy dobrą wieczerzę, usiedli sobie on na swoim, ona na swoim tronie, i zaczęli bałakać ni sio ni owo, aż raptem królowi jeść się zachce, i królowéj toż samo. W głowę zachodzą zkądby im ten głód, kiedy ledwo co łyżkę od ust odjęli? — ale królowa, że to była bardzo chytra i ciekawa, zaraz do głowy po rozum i nuż dumać. Podumawszy, obróci się do małżonka i rzeknie: Wiemci już co to za przyczyna, że choć jemy od rana do wieczora, nigdy się nasycić niemożem: kiedy chléb bardzo smakuje, ludzie wróżą rok głodny. — Rok głodny! zawoła król — rzecz niedobra, ale tylko dla biednych, nie dla nas. — Kochaneczku! na to królowa — od biednych pójdzie do bogatszych, od bogatych do jeszcze bogatszych; jeden drugiemu będzie wydzierał, bo głód, jak wściekły pies rzuca się na wszystko, w końcu na nas się skrupi! — Prawda! wielka prawda! mówił król w przestrachu chwytając się za pas — jakiż na to ratunek? — Niema żadnego.

Tośmy przepadli jak rude myszy! — Ha! byłby jeden sposób, ale . . . Królowa zaczęła się drożyć, a król ją głaskać pod brodę i tak prosić a prosić aż

wreście się zmiękczyła i rzekła: jeden jest sposób, ale niech dworscy o tém niewiedzą, boby im zazdrość była, że to się stało babim rozumem. — Król ją zapewnił o sekrecie, a ona tak mówiła daléj: Parę niedziel temu, dowiedziałam się z boku, jakoby w naszém królestwie strasznie pogłówio przybyło, i gdzie pierwéj miałeś dwoje lub troje w chałupie, teraz masz dziesięcioro. — Wojny dawno niemamy. Tatar i Wołosza cicho siedzą, kraju niepalą, luda w jassyr niebiorą, to też stepy i sioła pięknie się pobudowały, dobytek się mnoży, ale cóż! kiedy gąb przyrosło więcéj niż trzeba. Każdą razą, gdy poczuję głód w żołądku, czego od urodzenia nieznałam, dziwię się co to za nowy dopust? Niedawno kiedym stała w oknie i zamyśliła się o biedzie, przechodząca cyganka prosiła mię o jałmużnę, i pytała o przyczynę smutku. — Oj, poradź co cyganeczko — odpowiem — toć ja przecie królowa na królewskim dworcu, nigdy mi nic niebrakło, nawet ptasiego mleka, a teraz, kto wie co będzie, luda się namnożyło, ogłodzą nasze królestwo! — N e ż u r y t s i a i m o s t u n i u! odeprze z przymileniem cyganka — lud wasz i wszystko wasze — alboż to chan lub hospodar niezapłacą dobrze za każdą głowę? — A co, jak ci się ta rada podoba mój mężu? zaadgnie królowa, patrząc mu w oczy . . . — Aby mój lud wyprzedać jak bydło? zawołał król i poskrobał się w głowę i chodził po świetlicy. — Lud chrześciański wyprzedać poganom? przez taką radę możnaby zgubić duszę . . . — A królowa na to: o duszę się boisz? to strach najmniejszy — jak dostaniemy czerwieńców, nabudujem dużo klasztorów, postawim siła figur na rozstajnych drogach, i Pan Bóg jakoś odpuści . . . Król jeszcze długo tam i sam chodził po świetlicy, aż nakoniec i przystał: Masz słuszność, napiszę do krymskiego chana niech wpadnie zagonem, męzkiego i żeńskiego plonu nabierze, a ja wojska cofnę w głąb kraju; dopiero potém od głowy ugodzim się i targ przybijem. — Jak się namówili, tak zrobili. Król napisał pismo do chana; toż zaraz chmara Tatar wpadła do Polski trzema sznurami, paląc, pustosząc sioła i zabierając lud biały w jassyr; gdy tedy chan powracał z czambułu z nieprzeliczoną ćmą jeńców, dał znać królowi, aby porachowawszy odebrał zapłatę. Król z dworskimi panami sam zjechał do tatarskiego chana, który się rozłożył koszem na granicy Podola, przy jedném wielkiém jeziorze. Jeńce postrzegłszy z daleka swojego króla, bardzo się uradowali, myśląc że przybywa wykupić ich z niewoli. Król widząc jak z płaczem wyciągali ku niemu ręce nazywając swoim: Zbawcą — gorzko pożałował, że dał ucho chytrościom żony, i zaczął z chanem targować się o wykup jeńców, dodając mu już w dwónasób więcéj, niż stanęła umowa o sprzedaż. Ale chan jak nie, tak nie. — Wasze czerwieńce, mój lud — odpowiedział — i kazał Tatarom pędzić brańców w kraj pogański. Wtenczas to, jak powiadają, taki powstał ryk i płacz między polskiémi jeńcami, że król Sobiecki jak siedział na koniu, tak i skoczył z nim w jezioro, niemogąc przeżyć krzywdy uczynionéj swojemu poddaństwu. Snać dusza jego i na tamtym świecie niedoznaje spoczynku, bo co nocy, zwłaszcza kiedy miesięczna, widujący go ludzie, jak konno ugania po błoniach, a z pierwszemi kury, znowu powraca na dno jeziora, gdzie za karę wiecznie musi liczyć tatarskie czerwieńce . . .

Bajki! brednie! przerwał szlachcic pomuskując białego wąsa — król Sobieski wiem przecie — Wiedeń obronił od pogan, a miałby im swój naród sprzedawać? . . . Prędzéj by się to tyczyło pana stolnika litewskiego (tak pan Kaniowski zawsze ostatniego króla nazywał) . . . z tém wszystkiém choć anegdota niebardzo prawdziwa, wszelako morał morałem . . . oj, trzeba by ręki boskiéj na tych wszystkich zdrajców co zaprzedają swoich! . . .

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z Ameryki.

List Wiktora Ko.......... do rodziców.

(Ciąg dalszy.)

U jéj podgórza jest wchód do sławnéj groty Adelsberg. Wchodzi się przez bramę, gdzie kilku ludzi z pochodniami prowadzą długi czas w pośród ciemnego i wązkiego korytarza. Raptem wchodzi się na niezmierzoną okiem salę, czyli raczéj zdaje się, że cała góra jest wydrążoną i również ogromną przepaść postrzega się pod nogami gdzie z szumem i łoskotem płynie szeroki strumień. — Zniskąd najmniejsze światełko nie dochodzi, tylko pochodnie przewodników i światła rozstawione na moście łączącym brzegi pieczary dozwalają zdumionemu oku przebiegać ten wspaniały i przerażający widok. Jest tam jeszcze wiele innych sal, które, ażeby dobrze zwiedzieć potrzeba na to czterdziestu godzin. Pokazują tam mnóstwo stalaktytów, między innemi firankę kamienną, tak dobrze udrapowaną z natury, z czerwonemi naturalnemi szlakami i za przysunieniem światła z przeciwnéj strony przezroczystą, że łatwoby się można omylić. Droga z Adelsberg ku Tryestowi jak najdziksza, grunt na około zupełnie skalisty, bez ża-

dnéj prawie wegetacyi, rzadko gdzie jaką wioskę albo chatkę ujrzeć, nakoniec droga prowadzi nieznacznie pod górę i wkrótce się daje widzieć kwarantanna na granicy włoskiéj i tuż nie opodal oberza. Dobra wróżba! zawołał kapitan zabierając się do złażenia z wozu: »*Non si ferma Signore, la Citta, e qui vicina.*« (To nie wioska panie, to już miasto) rzekł wstrzymując go kapral od eskorty. — »*Corpo di Bacho!*« co ten szpak nie prawi o mieście; chyba żem oślepł i na drugie oko! Ale zaledwośmy kilka kroków ujechali, aż raptem przy zakręcie góry, okazał się oczom naszym niezmierny widok Adryatyku bielejącego żaglami rybackich statków. — U stóp góry, którędy droga prowadziła dawało sie w miniaturze postrzegać miasto Tryest z portem i okrętami, a w perspektywie port Piramo. Można sobie wyobrazić nasze zachwycenie, a mianowicie kapitana, który trzy razy taftas podnosił, jak gdyby chciał się lepiéj przypatrzyć swojém lewém okiem. Nakoniec straciwszy całą godzinę, tak kręty jest gościniec prowadzący z góry, stanęliśmy w przeznaczonych dla nas koszarach. Druga część kolegów już była umieszczona w kastellu nakształt fortecy. Tryest obszerne jest miasto ale źle zabudowane i nieczyste. Nie doświadczając wiele sympatyi ze strony mieszkańców, po największéj części kupców, Żydów lub Greków, smutnośmy czas przepędzali, pomimo roskosznego klimatu i pięknych widoków morza i okolic. Przytém wolność nasza tak była ścieśniona, żeśmy się głośno domagali ażeby względem nas rząd co postanowił lub nam wrócił swobodę. Długośmy nic zbadać nie mogli i w tym czasie pisałem do was. Nakoniec odbieramy wizytę generała Paulukczego i rozkaz ażeby być gotowymi do wsiadania nazajutrz na okręty mające nas transportować do Ameryki północnéj. Pomimo radości, że przecie nasza niewola się skończy było w tym rozkazie coś okropnego, co do głębi serca smutkiem przejęło. Ledwie miałem czas rzeczy upakować i napisać list w którym się zapewne cała niespokojność mojego umysłu malowała. Jeśli was ten list nie doszedł — to komissarz policyjny w Tryeście ma serce twardsze od stali. — Ze łzami go zaklinałem o przesłanie tego listu do Wenecyi pod adressem ***. D. 22. Listop. już byliśmy ambarkowani w liczbie 235 na dwie austryackie fregaty, Guerriere o 52 działach i Hebe o 48. Wieczorem przy słabym wietrze zaczęto żagle rozwijać; z rana już port tryestski jak przez mgłę widać tylko było. Minęliśmy port Piramo. — Wspaniały, nie do opisania jest to widok wojennego okrętu. — Te armaty sterczące z boków jak paszcze, ta niebotyczna i szlachetna struktura masztów, te białe, olbrzymie żagle jak orle skrzydła. Równie melancholiczny choć wspaniały jest widok posępnego jednostajnego morza. Przez dwa dni mało pogodne, wiatr słaby ledwo posuwał okrętem i czując się zupełnie zdrowym, sądziłem, że to bajki tylko prawią o morskiéj słabości. Kiedy trzeciéj nocy niedaleko wyspy Ragossa, wzmagający się wiatr przeciwny powiększając wahanie się okrętu zbudził nas prawie wszystkich ze snu. Smieszna to rzecz była słyszeć starych wiarusów wzywających na pomoc wszystkich świętych, przeklinających na czém świat stoi Ro..... i A......... jako sprawców swéj choroby. Ja się wtenczas nie śmiałem, bo już od téj chwili nie opuszczałem mojéj kołyski, tak muszę nazwać rodzaj prześcieradła i flanelowéj kołdry zawieszonych na dwóch krukach i służących za pościel, aż w kilkanaście dni późniéj dla obaczenia odnogi tarenckiéj i starożytnego Brunduzyum. Tu znowu przeciwne wiatry długo nas wstrzymywały w odnodze adryatyckiéj nie pozwalając okrętowi tylko się zwolna posuwać — jednak lawirując i minąwszy przelądek S. Pelagii, wypłynęliśmy na Śródziemne morze. 12. Grud. u brzegów Sycylii zerwała się okropna trzydniowa burza z przeciwnym wiatrem. Opisania wam o niéj dać nie mogę, chyba z mojéj kołyski w któréj cały czas prawie, bez duszy leżałem i utrzymanie mnie winien tylko byłem staraniu mniéj słabych kolegów, a nadewszystko troskliwości poczciwego Szymańskiego. Wiem tylko że tak fale nami miotały, iż okręt wiele razy pochylił się na prawo — kolebka moja dotykała się prawie boków okrętu, a ile razy na lewo, to prawie scieli i wtenczas musiałem się chwytać za belkę lub kruk ażeby nie wypaść. Łoskot bałwanów uderzających o boki okrętu i często zalewających cały pokład — ryk wiatru szumiącego w pośród tego lasu lin i żagli — przeraźliwy świst piszczałek kontrametrów na pierwszym pokładzie i okrzyki marynarzy przy ciągnieniu lin — *Hohe! tira! hissa!* — głos chrapliwy kapitana komenderującego przez tubę! »*Marinai a prova! Marinai alle gabie! hissa le gabie del Maestro tramontano!*« Wszystko to dochodziło razem moich uszu, połączone z trzaskiem mocujących się masztów z monotonną muzyką, skrzyp — beczek i pak w śpiżarni okrętowéj i z głosami obok mnie — »oto piekło! bo też prawdziwie ciemno jak w piekle.« Potrzeba albowiem wiedzieć, że trzeci pokład na dole, który był naszém pomieszkaniem oświecony tylko kilką małemi okienkami jak ćwierć szybę nie wiele światła dostarczał. Ta burza wpędziła nas do Malty gdzie przez pięć dni odżyłem trochę i kupiłem kilka nieodbytych artykułów w czasie mojéj słabości, gdyż na okręcie su-

chary, sér i rum na śniadanie a daléj mięso solone z ryżem albo sztokfisz z fasolą i starą oliwą były całém naszém pożywieniem. Z Malty wypłynęliśmy 21. Grud. a 24. byliśmy naprzeciw Cavo passaro w Sycylii. Tam odprawiliśmy wilię — niestety! była to już trzecia daleko od was spędzona. Odtąd wiatr tak był uparty, że nas trzymał przez kilkanaście dni ciągle pomiędzy Maltą i Sycylią. Późniéj przy pomyślnym ale bardzo słabym płynąc powoli minęliśmy Sardynię naprzeciw Kaliari, Minorkę i płynąc bardzo powoli wzdłuż brzegów Malagi, nakoniec po wielu trudach zawinęliśmy 30. Stycz. do Gibraltaru. Tam, przez dni 13 odetchnąłem dopiéro i nasyciłem oczy widokiem wspaniałéj twierdzy i brzegów już okrytych zielonością i kwiatem. 12. Lut. podjęto kotwice i przez całą noc żeglowaliśmy w cieśninie — ale zanadto słaby wiatr i przemagający bieg prądu zmusiły nas powrócić do zatoki i znów zapuszczono kotwicę już naprzeciw Algezyras. Nazajutrz liczne grono Hiszpanek i Hiszpanów podpłynąwszy w łódkach pod sam okręt przywitali nas muzyką składającą się z dwóch bębnów i klarynetu, na którym muzykus starał się wygrać coś nakształt mazura, z okrzykami: »*Viva l'independenza! Vivos los Polacos!*« na cośmy im odpowiedzieli z okrętu: »*Viva Donna Isabella!*« powtórzone przez nich z głośném hura. Żałuję mocno, że granice listu nie pozwalają mi wejść dokładniéj w szczegóły naszéj morskiéj podróży. Była to także wielka szkoła świata ucząca świętéj cierpliwości, kiedy czasem trzeba tylko było przestać na kilku sucharach i znosić różne cierpienia fizyczne i dotkliwsze jeszcze cierpienia moralne. Zgiełk i ciasnota na pierwszym pokładzie, brak światła na dole i wahanie się okrętu nie dozwalając niczém się zająć, nigdzie spokojnego kątka znaleść we śnie, niezgody wynikające z téj okropnéj nieczynności, grubijańskie obchodzenie się marynarzy — słowem przy słabości wznawiającéj się zalada kołysaniem się okrętu, podróż moja przeszła jak ciężki i okropny sen. Możecie więc sobie wyobrazić radość moją i nas wszystkich, kiedyśmy po wielu tygodniach żeglugi przez Ocean usłyszeli nakoniec głos z masztu — *Terra al ponente!* Ale nadzieja często zawodzi, kiedy się najpiękniéj uśmiecha. Tegoż wieczora zerwała się tak okropna burza, że w przeciągu szesnastu godzin uniosła nas o 150 mil w bok, po któréj nastąpiła Bonassa cisza morska utrzymująca okręt prawie na jedném miejscu tak, że dopiéro aż 22. Marca, to jest w tydzień późniéj a w 35 dni po wypłynieniu z Gibraltaru zapuściliśmy kotwicę w Nowym Jorku. Było to jeśli się nie mylę w wielki Piątek a w Niedzielę jakby zmartwychwstając na wolnéj ziemi. Trudno sobie wyobrazić radość jaką sprawuje widok ziemi ze wszystkiemi jéj przyjemnościami po tak długiéj morskiéj podróży, po jednostajnym i posępnym widoku Oceanu, a szczególniéj widok rozmaitości i ruchu miasta liczącego przeszło 250,000 mieszkańców. To uczucie na chwilę nas tylko zajęło, ale powoli nastąpiły uwagi. Cudzoziemcy w obcym kraju, nieznający ani języka, ani położenia miejsca, bez pieniędzy lub z bardzo szczupłą kwotą, co poczniem, co dziś jeść będziemy i pod jakim dachem znajdziemy przytułek. W skutku tych uwag, ogół wybrał komitet złożony z pięciu członków mających się zatrudnić i obmyśleć cóżkolwiek względem losu współkolegów. Jako znający język francuzki i posiadający zaufanie znacznéj części, byłem umieszczony w téj liczbie. Czyniliśmy co było w naszéj mocy — wyprawiliśmy z grona naszego dwóch członków do Waszyngtonu, w celu przedstawienia prezydentowi naszego położenia. Sam zaś przez ten czas za pomocą interessujących się w naszéj sprawie kilkunastu osób, staraliśmy się ile możności, ułatwiać kolegom sposoby utrzymania się. Ale Amerykanie przyzwyczajeni widzieć tysiące cudzoziemców z złym charakterem przybywających do ich kraju, nieufnym tylko okiem spoglądając na wszystkich i dla nas nie wiele sympatyi okazali. Szczupłe składki prywatne wkrótce się wyczerpały. Wprawdzie kongress nadał nam po sto akrów ziemi w prowincyi Ilinoa, ale napróżnośmy jakiego rządowego zasiłku wyglądali do założenia kolonii jak był projekt. O dwieście przeszło mil polskich oddaleni od téj obiecanéj ziemi, bez sposobu udania się do niéj a choćby i tak, nie mając za co zbudować chat, zakupić narzędzi rólniczych i żyć nimby ziemia żniwo wydała, w smutném ujrzeliśmy się położeniu i przymuszeni rozsypać się na wszystkie strony. Jedni w ciężkich pracach szukając utrzymania, drudzy w lżejszych, jak się komu trafiło. — Szczęśliwy, kto jakie rzemiosło umiał! Inni opuszczając ten kraj kupiecki niegościnny, udali się do Kanady i Mexyku. Część ostatnich w liczbie 26 puściwszy się lądem z Nowego Orleanu ku Texas i zabłądziwszy w pustyni oskoczeni zostali przez pokolenie dzikich Indyan. Dwóch poległo na placu, a reszta tak ciężko poraniona, że jeden tylko dostał się w całości nazad do Orleanu. Taki to los nieszczęśliwych wygnańców! okropny widok upadającéj cnoty! jakby wywołanéj i odepchniętéj z łona narodów popsutych cywilizacyą i hańba dla kraju, gdzie się znajdują banki po 800 milionów talarów liczące. Co się tycze mnie, porównywając los mój z losem innych, mogę się nazwać szczęśliwym, i bardzo szczęśliwym.

Wam to, drodzy rodzice, najwięcéj winien jestem, żeście nieszczędzili starań w daniu mi edukacyi, która, chociaż obeznała mnie w niskim stopniu z naukami i talentami a przecież mi tyle posłużyła! Szczególném także zrządzeniem opatrzności od pierwszego dnia wstąpienia na ziemię amerykańską, miałem do czynienia nie z ludźmi ale, że tak powiem, z aniołami w ludzkiéj postaci, którzy mię trochę z rodzajem ludzkim pojednali. Jeszcze nimeśmy wylądowali mnóstwo osób na okręcie odwiedzało; jedni z czystéj i głupiéj ciekawości — nie wielu przez ludzkość. Między tymi był młody Francuz, nazwiskiem Opik, który dowiedziawszy się, że mówię po francuzku, zbliżył się do mnie i po krótkim dyskursie ofiarował zaprezentować mię swemu gospodarzowi. Nazajutrz byłem już umieszczony w ciasnym pokoiku na trzecim piętrze obok stancyi młodego Francuza, a który dla mnie wydawał się rajem po okrętowém życiu. Gospodarz domu, Papa Wilgran, jak go wszyscy nazywali, a i ja późniéj, był sobie staruszek sześćdziesięcioletni z górą, ale czerstwy jeszcze i wesoły. — Zapalony Republikanin — a jak sobie podpił w niedzielę madery, nieomieszkał śpiewać troszkę przez nos, »*allons enfants de la patrie! i la parisienne.*« Pokochał mię od razu, i tyle mi czynił dobrego przez ośm tygodni mego pobytu w jego domu, o ile tylko było w jego mocy. Był on w młodości jednym z bogatych kolonistów w San-Domingo, ale w czasie rewolucyi ledwo życie ocaliwszy, schronił się do Stanów Zjednoczonych i przeszedłszy koleje tancmistrza, i metra języka francuzkiego, trzymał nakoniec jeden z pierwszych Boring w Nowym Jorku, co odpowiada francuzkiemu wyrazowi: »*pension.*« — Tam znalazłem się w towarzystwie kilku Francuzów, Włochów i Hiszpanów bardzo światłych i miałem przyjemność, poznać pierwszego amerykańskiego poetę, pana Halik. Przez cały ten czas młody Francuz był moim opiekuńczym aniołem strożem, że tak się muszę wyrazić, gdyż cudzoziemiec w obcym kraju jest jak ślepy, który potrzebuje przewodnika. Opik był muzykusem przy operze włoskiéj i skończonym wirtuozem na waltorni. Paryżanin w całém znaczeniu tego wyrazu: *un peu blasé et sans souci* — pomimo tego jednak tyle miał dobroci w gruncie serca, żeśmy żyli w jak najlepszéj harmonii. Zapoznał mię z wielu swymi przyjaciołmi a między innemi ze starym jednym Francuzem nazwiskiem Maneska i Włochem, Maronczelli, których radom i protekcyi wszystko byłem winien. Maneska także jeden z kolonistów z San-Domingo straciwszy ogromny majątek, przeszedłszy także różne koleje, trudnił się nareście od lat dwudziestu dawaniem lekcyi języka francuzkiego. Przy wielkich rysach charakteru, dziwak, zapalony wyznawca religii naturalnéj, ale filantrop w najwyższym stopniu. Jest on wynalazcą nowego systematu uczenia języków, który zapewne go wsławi. Maronczelli, znany Karbonar, długo więziony przez rząd austryacki stracił lewą nogę skaleczoną łańcuchami w twierdzy Spielberg, gdzie wysiedział lat dziesięć, razem ze swym przyjacielem i towarzyszem nieszczęść, sławnym Silvio Pelliko. Wypuszczony na wolność, bawił niejaki czas w Paryżu, gdzie się trudnił dawaniem lekcyi języka włoskiego i muzyki. Jest to człowiek młody, autor, poeta, z najrzadszemi przymiotami a nadewszystko z sercem. — Jako członek naszego komitetu miałem także zręczność poznania wielu Amerykanów, a między innymi w podeszłym już wieku Alberta Galatyna wprawdzie Szwajcara rodem, ale człowieka bardzo zasłużonego w politycznem życiu Ameryki, przyjaciela Dźefersona i byłego ministra finansów Stanów Zjednoczonych. Był on wielkim przyjacielem naszéj sprawy i zaszczycał mię szczególniejszą łaską. Temu także winien jestem krótkie widzenie się z Kuperem, do którego byłem wysłany w celu otrzymania od niego rekomendacyjnych listów dla naszych deputowanych do Waszyngtonu. Kuper, jak sądzą, już ma przeszło 45 lat, kolosalnéj postawy, rysów wspaniałych, twarzy mocno brunatnéj i włosów już dobrze szpakowatych. Widząc się z nim chwilowo nic wam więcéj o nim powiedzieć nie mogę. Ma on wielki wpływ u rządu, ale ogólnie nie jest admirowany i lubiony jak u nas. Zarzucają mu dumę — zapewne obraził miłość własną Amerykanów wytykając ich wady w swoich romansach. Po rozwiązaniu komitetu widząc kassę moją bardzo szczupłą, szczerze zacząłem myśleć o sobie; ale nie znając języka angielskiego, nie umiejąc żadnego rzemiosła, niewiedzieć czego się było chwycić. Wprawdzie przy końcu mojego pobytu w Nowym Jorku ofiarowano mi miejsce kupczyka w jednym sklepie; ale pod takiemi warunkami i taki wstręt czułem do handlu, żem odmówił. Starałem się dostać do jakiéj księgarni, co było więcéj zgodne z memi upodobaniami, ale nieumiejętność języka angielskiego, który jest językiem narodowym stanęła mi i tu na przeszkodzie. W téj ostateczności Opik, Maneska i Maronczelli złożyli konsylium i oświadczyli, że widząc iż posiadam język francuzki i włoski, muszą mię koniecznie wykierować na nauczyciela, a znając dobrze kraj, nie wątpię, że zadawszy sobie pracę, mógłbym na prowincyi znaleść nawet uczniów do muzyki. Na ten ostatni argument nie mógłem się wstrzymać od

śmiechu, ale potrzeba zmusiła mię wkrótce z tą myślą się oswoić. Nająłem tedy z magazynu muzycznego fortepian na wpół z jednym Włochem z opery, nazwiskiem Placzyi, przy pomocy mego Francuza, zacząłem dzień i noc pracować tak usilnie, że w przeciągu kilku tygodni odzyskałem całą moją dawną biegłość. Tu zdaje mi się widzieć śmiech na waszych ustach. Ale na szczęście, że w tym poczciwym kraju, lepiéj się znają na cenie solonego mięsa, lub na wartości wełny, niżeli na pięknych sztukach a nadewszystko muzyce.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Grota Św. Rozalii. — Na górze Pellegrino niedaleko Palermo znajduje się grota, w któréj miała żyć i umrzéć Św. Rozalia. W téj grocie są teraz dwa ołtarze, jeden Matce Boskiéj, drugi Św. Rozalii poświęcony. Ostatnią przedstawia figura marmurowa, w postaci pięknéj, śpiącéj, młodéj dziewicy, która głowę ręką podpiera, drugą zaś krzyż trzyma. Suknia na niéj, dar króla Karóla III., kosztuje 5000 piastrów, na szyi ma dyamentowy naszyjnik, u wszystkich palcy pierścienie, a na piersi na czarnej i niebieskiéj wstążce, krzyż maltański i order Maryi Teressy. Grota ta jest schronieniem dla prześladowanych kochanków. Jeżeli para jaka w ucieczce swéj z Palermo zdoła schronić się do téj groty, natenczas nie może być rozłączoną, prawa bowiem rodzicielskie tu ustają, a świętéj zaczynają. Duchowny będący w téj grocie pyta kochanków, czyli chcą być zaślubieni, w razie życzenia czyta mszą na ich intencyą. Po mszy kochankowie uważają się za małżonków; wracają podczas dnia do Palermo, trzymając się za ręce, bo nie wolno rodzicom nic przeciw takowemu połączeniu przedsiębrać. I takie śluby nie są rzadkie, bo jak ów duchowny powiada że nie masz tygodnia, w którymby taką parę nie połączał.

Mówią nam, że Baraguły w okolicy Żytomirza bardzo dramatycznie postąpili sobie z Jaroszem Bejłą, autorem mięszanin. Gdyby wszyscy chcieli się odwdzięczać i słuszniéj jak Baraguły, i tak, jak sobie zasłużył autor mięszanin, zapewne dramat nie miałby końca, a autor poleżałby dłużéj niż ruski miesiąc, do którego w swych spojrzeniach filozoficznych na literatury starożytne i nowożytne, tak serdecznie wzdycha.

Fabryka wstążek w St. Etienne, która pół świata opatruje we wstążki, zatrudnia w mieście i okolicy przeszło 40,000 osób. Wyroby téj fabryki dochodzą rocznie w swéj wartości 40 do 45 milionów franków. Liczbę krosien podają na 25,000. Oprócz tkaczy pracuje w téj fabryce 12,000 kobiet, oprócz tego mnóstwo znajduje się takich, co rysują, gładzą i farbują wstążki.

Trzy mody zajmują teraz Paryż: naprzód fraki jedwabne, w które dandy paryscy się przebierają, — drugie pływania w rzece Sekwanie, w czém i paryżanki udział biorą, — trzecie wysokie gry w karty. Od czasu jak zakazano publiczne gry w karty, zamieniono je na zwyczajne, a szczególniéj whista. Znaczne przytem sumy przegrywają, tak nie dawno pewien młody elegant w Chantilly w krótkim czasie przegrał 37,000 franków we whista. Pytanie u nas, czy whist bazarowy jest kopią lub oryginałem?

Krytyka Rychtera tyle odkryła słabości w pewnych pamiętnikach, iż autor rozgniewanym dawcom zobowiązał się podobno spłacać ratami wzięte 40,000 Złt. pol. za pamiętniki swoje.

W Londynie umarła przed niedawnym czasem panna, wskutek zbytniego sznurowania się, jak mówią lekarze.

Z każdym dniem pomnaża się liczba budynków w Anglii z lanego żelaza i zdaje się iż nie długo utworzy się nowa gałąź takowego przemysłu. Mury są wewnątrz próżne i dla tego łatwo się opalają za pomocą pieca w kuchni ustawionego. Dom o trzech piętrach z lanego żelaza, z 16 pokojami, wagi 850,000 kilogramów, kosztuje 27,500 franków. Ozdoby nie przechodzą 600 franków. Małe miasto Everton niedaleko Liverpolu, wystawiło kościół z wieżą z lanego żelaza, koszta jego nie przenoszą 200,000 franków. Zewnątrz wystawiony jest w rodzaju gotyckim, a malutury olejne nadają mu postać gmachu kamiennego. Zamówiono w Belgii i Anglii mnóstwo takich budynków dla spalonego Hamburga.

W zaprzeszłym miesiącu przybył Anglik do Baden Baden. Powietrze było zimne i burzliwe. Anglik narzekał na Mistress Trollope. »Powiedziała w swéj książce,« to są słowa Anglika, »iż Baden jest najpiękniejszym w miesiącu Maju i oddała go w uroczych kolorach. Ja umyślnie tu tak daleko przyjeżdżam i przykonywam się o jéj kłamstwie.« Rozgniewany Anglik nie czekając pogody, opuścił Baden.

Arystokracya francuzka — powiada Neigebauer w swoich pamiętnikach o Francyi — nie straciła nic przez rewolucyą. Borów jéj nie przedano, Napoleon wynagrodził wielu wychodzców, a pod restauracyą milliard wyznaczony zupełnie ją opatrzył. Marquis d'Aliger ma teraz jeszcze 1 milion fr. dochodu, Marquis du Coudrai toż samo, książęta Coigni, Praclin i d'Uzes przeszło ½ miliona i wielu innych podo-

bne pobierają dochody, a między nimi hrabia Roi, były adwokat, za restauracyi minister skarbu, przeszło 1,200,000 rocznego dochodu. — Wyższa arystokracya, mówi daléj Neigebauer, zawsze ma dosyć jeszcze pieniędzy, aby pod rozmaitemi pozorami opłacać zbiegowiska ludu, nie pytając o jego nędzę i o skutki dla niego przykre, byle dogodzić własnym widokom materyalnym.

Parę można do wszystkiego używać. W Anglii zastósowano ją w nowym rodzaju — do wylęgania jaj. Doświadczenia zupełnie się udały. Włożono jaja kacze w trociny, naczynie z niemi zawieszono nad kotłem parowym, skrapiano je ciepłą wodą, a po niejakim czasie wykuły się młode kaczęta.

Meyerbeer został dyrektorem muzyki w operze berlińskiéj.

Przypadek na kolei żelaznéj amerykańskiéj. Koléj żelazna z Owegi ma dwie pochyłe płaszczyzny, opadające na $\frac{1}{2}$ mili angielskiéj 500 stóp. Na pierwszéj, oddzielają lokomotywę od wozów, zakładają do ostatnich hamulce i puszczają same na dół. Przed nie dawnym czasem puściło się takim wozem jedenaście osób, ale ujrzano nagle że hamulec nie chwyta koła i wóz przyśpieszonym biegiem zbliża się do spadzistszéj płaszczyzny. Człowiek zatrudniony przy hamulcu, wezwał siedzących do wyskakiwania z wozu, sam téż zeskoczył. Na wozie pozostał jeden tylko podróżny z przestrachu, wóz zaś w okamgnieniu sunął się po drugiéj płaszczyznie i przy końcu na drobne rozleciał się kawałki. Podróżny połamał ręce i nogi, a w gorączce ciągle woła: »brr! brr!« jak na konie, które się rozbrykały.

MODY. — Paryż, dnia 13. Lipca 1842. — Negliż domowy. — Otwarty szlafroczek z tkaniny jaconas, na tle aprykozowém, z bukiecikami w kolorze rdzy, z podwójnie brzeżonym kołnierzem, który na okół, podobnie jak powłok z przodu, wązką fręzlą jest orzucony w kolorze szlafroczka. U dołu wązkie rękawy, rozszerzają się u góry. Kołnierz Maryi batystowy. Czepeczek chłopką zwany z batystu, wszystko koronką oszyte. Rękawiczki bez palcy z haftowanego aksamitu, z tyłu sznurowane.

Negliż na wyjście. — Szlafroczek z szarego drelichu z wyłogami; długi szal z czarnéj kitajki. Kapotka słomiana, podszyta zieloną krepą. Lakierowane trzewiki. Czarne kamasze.

Toaleta na wyjście. — Suknia z lilijowego bareżu we fijołkowe i białe wzory. Szal długi muślinowy orzucony haftowaną i szeroką koronką. Kapelusz ryżowy, zdobny zielonym aksamitem. Parasolik à la donairière.

Suknia z drelichu szamoa w dwóch odcieniach z zakładkami, nad niemi sznureczek w ciemniejszym od sukni kolorze. Płaszczyk (camail) z czarnego jedwabiu orzucony fałdzistą koronką. Kapelusz z włoskiéj słomy, dziką różą i źdźbłem trawy spód i wierzch obwodu ozdobiony. Bóciki z szarego drelichu.

Toaleta wieczorna. — Suknia z różowego tarlatanu w rzucik biały. Trzy zakłady na powłoce. Krótkie rękawy i stanik wycięty, trzema oszyty wodami. Strój à la Sevigné, z kwieciem akacyowém w lokach. Wachlarz i bukiet.

Ubiór na mały balik lub wieczór wiejski. — Strój głowy z kwiecia naturalnego. Suknia z muślinu tarlatanowego na szwajcarskim muślinie. Stanik w kształt snopka z wązkiemi rękawami, które aż do łokcia zachodzą i odtąd kończą się gładką brukselską koronką. Na powłoce trzy równo oddalone zakłady. Przepaska z dwiema kokardami i półdługiemi końcami. Jedwabne rękawiczki bez palcy. Bóciki z gros de naplu.

Męszczyzni ubierają się po wsiach w obszerne pantalony w jasnych kolorach, we fraki kaźmirkowe z guzikami jedwabnemi tegoż koloru, kolorowo kratkowane krawaty, szwedzkie rękawiczki, trzewiki kamaszowe i szare lekkie kapelusze.

Objaśnienie ryciny.

1. Habit sac z sukna w jasnym kolorze, guziki aż do dołu. Pantalony białe.
2. Krótki surdut, z szerokiemi wyłogami. Pantalony fałdowane u paska.
3. Kapelusz ryżowy, ozdobiony słaniającém się piórem i szeroką wstążką. Powłoka oszyta pasamonami. Wielka kardynalska peleryna, złożona z falban koronkowych, ujętych w kolorowe bufki wstążek. Szerokie wstążki do wiązania.
4. Czepek batystowy, zdobny koronką i wstążką. Suknia bareżowa. Stanik gładki zaokrąglony, czarną bertą oszyty. Ukosowe krótkie rękawy.
5. Czepek batystowy, strojny rozetką i rulkami wstążkowemi. Suknia pekinowa, gładka, bez garnituru. Peleryna kardynalska z czarnéj koronki.

Redaktor: *N. Kamieński* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*


L. Brückner sc.